



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG.

EXPEDYCYJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr 5.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowieza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80. W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartal. tal. pr. 1 sgr. 20.

POGA WĘDKA.

Dobijamy do końca karnawału z coraz większym zawrotem głowy; wir taneczny wzmaga się i porywa nietylko młode ale i sędziwe nogi; stara gwardya przypomina sobie, że kiedyś umiała rej wodzić także — i szła „odbijanego“, aż się dusza radowała.

Ostatki przeto zapowiadają się nadzwyczaj hulaszczą, pomimo długiego karnawału; tylko jakoś niewielkie żniwo przypadło Hymenowi w tym roku.

O balach i wieczorkach słycać codziennie, ale o nowych małżeństwach dość rzadko. Ciężkie czasy!...

Tegoroczne zapusty odznaczają się specjalizowaniem zabaw towarzyskich. Mieliśmy bal artystyczny, (co prawda bez znacznego udziału artystów), urzędniczy, inżynierski i t. p.: tapicerzy, rzeźnicy, drukarze, malarze w swoim kółku szukają rozrywki, wszystko się bawi i hasa, jakgdyby za najlepszych czasów.

Pod koniec karnawału czekają nas jeszcze dwie maskarady z tombolą: jedną urządza Towarzystwo Dobroczynności — drugą artyści teatrów warszawskich, na dochód swojej kassy pożyczkowej. Niewątpliwie udadzą się obie, choć oprócz uśmiechów ślepej Fortuny, która każdemu za kupiony los przeznaczony jakiś upominek, niczego lepszego spodziewać się nie można; zabawy pod maską nie szukać na naszych salach ređutowych.

Co do tomboli, to jakkolwiek daje ona pewny dochód, w gruncie rzeczy jest mało zyskowną w stosunku do wartości rozlosowanych fantów. Prawda, że każdy fant przychodzi, jako ofiara darmo, ale spieniężony drogą publicznej rozprze-

daży, przyniosłby więcej, niż summa zebrana za losy.

Stało się to wszelako u nas niepraktycznym, lecz przyjętym zwyczajem, że wszystkie losy dają wygraną i każdy za swoją złotówkę należy do szczęśliwych wybrańców Fortuny.

Komitet tomboli na rzecz Towarzystwa Dobroczynności postanowił wprowadzić nowość i korzystając z daru pewnego bankiera warszawskiego, zamierza złotem pięciofrankowemi sztukami, nadziać jakąś część makaroników, które wśród massy pustych sprzedawać będą uproszone damy na sali.

Rozłakomi to zapewne jeszcze bardziej chciwych amatorów słodczy, a figiel powinien się dobrze opłacić celom filantropijnym.

Byle tylko nie pozwolono kupującym zanadto przebierać w tym złotodajnym towarze, bo pięciofrankówki dla czułych rąk, zdradzą się swoim ciężarem.

Anachronizmem w obecnej porze szału i pustoty, była „konferencya literacka“ młodego Francuza, p. Juliusza Brun, który odważył się wstąpić na katedrę odczytową w tejsamej sali, co zwyczajnie rozbrzmiewa w tym czasie tylko skocznemi dźwiękami orkiestry balowej.

Pan Brun mówił o sympatycznym autorze „Fromonta i Rislera“, mówił w swoim ojczystym języku na korzyść ubogich rodaków, zostających w Warszawie pod opieką konsulatu francuzkiego.

Pomimo celu filantropijnego, starej naszej skłonności do Francuzów i zajmującego tematu, niewiele osób zebrało się w Sali Ratuszowej na tę pogadankę, lekką i bezpretensjonalną, młodego Paryżanina o „Alfonsie Daudet“, a przyczyną tego były zbyt wysokie ceny. Z Francuzami, co prawda, nie zwykliśmy się rachować ani targować, ale tymrazem jakoś zawiedliśmy ich nadzieje i oczekiwania.

Pan Brun za wysoko bowiem ocenił swój poprawny akcent i trud streszczenia biografii Dau-

det'a, z książki brata jego Ernesta, dostępnej dla każdego za trzy franki; krytycznego poglądu na talent, stanowisko, utwory znakomitego powieściopisarza, nie znaleźliśmy w jego salonowej, przyjemną deklamacją przeplatanej pogawędce, którą wypowiedział, jako *un joli causeur*.

Na tejsamej katedrze zresztą przywykliśmy widywać poważnych mężów nauki, głębszego umysłu, żmudniejszej pracy, którzy przychodzą żywym słowem zasiewać w umysły swoich słuchaczy cięższe i pożywniejsze ziarno pojęć, myśli i sądów.

Z nastaniem postu powitać mamy znowu takich siewaczy *ex cathedra*, pomiędzy którymi zapowiadają Zygmunta Kaczkowskiego, R. Pilata, Dra Dybowskiego i wielu innych, znakomitych talentem lub naukową zasługą.

Niezwykły ma być dobór prelegentów i odczytów, któremi tego roku komitet Towarzystwa Osad Rolnych przynęcić zamierza publiczność do Sali Ratuszowej.

Między innemi wymieniają studjum Kazimierza Kaszewskiego o pięknej tragedyi M. Romanowskiego: „Popiel i Piast“, które wygłosi taki rzeźbiarz dykcji jak Królikowski.

Z poprzedniego numeru zapoznały się nasze czytelniczki z fiziognomią i żywotem znakomitego podróżnika, Dra Dybowskiego, który dotąd przebywa jeszcze w Warszawie; obecnie będą mogły poznać liczne jego i ciekawe niezmiernie zbiory, przywiezione z podróży po Północy. Dr Dybowski bowiem nie pożałował trudów, aby rozpakować, ułożyć i wystawić na widok publiczny, te zdobycze długich lat, własną ręką i własnym kosztem gromadzone po odległych zakątkach ziemi, znanej nam zaledwie z opisów, jeśli nie z nazwy tylko.

Wystawa mieści się przy Okólniku hr. Krasińskiego, w domu naprzeciw Tattersalu w parterze i ściągnie niewątpliwie tłumy widzów, zwłaszcza, że i cel jej zasługuje na jaknajgorętsze poparcie.

Dochód przeznaczono bowiem na wydawnictwo „Pamiętnika fizjograficznego“, które dotychczas jedynie ofiarnością wydawców się utrzymywało.

Wstyd powiedzieć, że ta najpoważniejsza może z książek pojawiających się u nas, jedyny widomy ślad poważnych studyów i nauki na polu krajoznawstwa, nie może liczyć na poparcie i uznanie światłego ogółu poza głos słownym frazesem. Chwali się ją, mówi z szacunkiem o celu, pracach, wydaniu „Pamiętnika“, ale pozostawia go na półkach księgarskich i naraża wydawców na ciągłe straty i zawody.

Tegosamego losu doznają u nas prawie inne, mniej naukowym balastem obciążone wydawnictwa. Publiczność nasza czyta mało, czyta, co gorsza, źle, jednostronnie tylko; z całą pretensją do postępu i cywilizacji stoimy przeciw bardzo daleko jeszcze poza społeczeństwami, które poczuwają się do obowiązku i potrzeby popierania i poznawania własnej literatury i prasy.

Statystyka mogłaby nam odsłonić ten smutny i niezaszczytny stosunek umysłowego produkcyi, do umysłowej konsumpcyi. Ilość książek i pism polskich w porównaniu z całym czytającym ogółem, a zwłaszcza obowiązującym do czytania nie, jest wcale tak wielką, jak się nam wydaje.

Ileż milionów egzemplarzy pochłania corocznie w Niemczech, Francji i Anglii tylko domowa potrzeba czytelnictwa,—a z jakim trudem, reklamą, nawoływaniem, pobudzaniem ambicji rozchodzą się u nas zaledwie setki tego lub owego wydawnictwa!

Zdawałoby się, że belletrystyka, jako najłżejsza i najpopularniejsza karm, czytających tłumów, powinna mieć u nas powodzenie, a tymczasem na palcach policzyć-by się dało powieści, które dwóch, wyjątkowo trzech, doczekały się edycji.

O drukowanych utworach scenicznych, o poezjach, wspominać nawet pod tym względem nie warto. Wiadomo przecież, jak powoli i opornie rozchodzą się zbiorowe wydawnictwa dzieł najznakomitszych naszych poetów, jak niepamiętnym dla nas jest fakt rozchwywania pierwszej edycji takich dzieł na wzór zagranicy.

Z losami prasy również nie dzieje się lepiej, mimo to, że jest ona u nas i tańszą, i przystępniejszą, i narazie najżywotniejszą w naszych warunkach kierowniczką ruchu umysłowego.

Szczycimy się i chętnym wyższą cywilizacją, domagamy się praw i uznania naszego rozwoju intelektualnego, uchodzimy za mecenasów sztuk pięknych i ich miłośników, prawujemy się o miejsce wyższe w rzędzie oświeconych społeczeństw: a w porównaniu z nimi grzeszymy obskurantyzmem i obojętnością bezprzykładną.

Czytamy zwłaszcza mało, mimo to, iż lektura w dzisiejszych warunkach jednym z najpierwszych i najszlachetniejszych czynników wykształcenia naszego być powinna. Zarzut ten, niestety, bez różnicy płci dotyczy całego ogółu. Niegdyś przyznawano u nas pod tym względem kobietom wyższość, że czytały więcej od mężczyzn i były z natury i upodobań „literatkami“, dlatego, iż w książkach szukały częściej rozrywki, nauki i lepszego nieraz od ludzi towarzystwa.

Dzisiaj—dzieje się inaczej..., Dawne protektorki literatury, poezji, sztuki giną coraz bardziej, nasze panie coraz mniej znajdują czasu, a może tylko chęci, do spełnienia swej pięknej roli rzeczniczki i opiekunki, choćby tylko literatury nadobnej; coraz rzadziej w rozmowach z piękną książką, dziełem sztuki, poezya stanowi temat pożytecznej wymiany zdań; mówi się chętniej i lepiej „o niczem“, albo wecuje język i zaostrza spryt na pustych frazesach banalnej pogawędki salonowej.

Gorzej będzie z następnym młodszym pokoleniem, które wyrasta w tej atmosferze abnegacji i zobojętnienia dla literatury ojczystej, dla historii.

Jakże mało znalazłoby się dawnych „Entuzjastek“, wśród dzisiejszego pokolenia panien z pretensją do wykształcenia, któreby wzięte na ścisły egzamin dowiodły, że znają całego Mickiewicza, Słowackiego, Krasińskiego, Pola, Syrokomlę i innych wybitniejszych poetów, że wiedzą bez namysłu kto panował przed Batorym, a co zrobił Kazimierz Wielki, któreby czytały Szajnochę i Bartoszewicza...

A przecież wiedzieć o tem wszystkim i znać to wszystko, to chyba obowiązek wykształconej Polki.

Jakże ich coraz mniej, niestety!...

Mieliśmy przykład, że niedawno temu trudno było do zamożnego domu znaleźć nauczycielkę, pomimo wybornych warunków, któraby umiała i mogła się podjąć nauki literatury dla dwóch dorosłych panien.

Odpowiedzą nam, iż kierunek wykształcenia w ogóle jest dziś praktyczniejszym, pozytywniejszym, że czytanie poezji, studjowanie pisarzy epoki romantycznej pożytku nie przynosi. Przypuszczamy, że tak jest: ależ nawet i w tym wypadku, obowiązkiem jest znać dzieje swojej literatury jak swego narodu, aby naślepo nie sądzić o rzeczach nieznanych i na cudzą wiarę nie potępiać przeszłości i jej wielkich „grzeszników“!

Nie chcielibyśmy tą wyłącznością dotyczyć tylko kobiety dzisiejszego pokolenia: zasługuje na podobny zarzut zobojętnienia i młodzież męzka. Prawda, że życie coraz cięższe, warunki egzystencji coraz uciążliwsze, praca coraz większa i żmudniejsza,—nie można iść w przyszłość z zamkniętymi oczyma; lecz to nie powód jeszcze, aby już wcale na przeszłość nie spojierać.

Żyjemy szybko, gorączkowo, pośpiesznie w wieku pary i elektryczności,—odrzucaamy wszystko, co „chleba nie daje“, ale i o chlebie dla ducha zapominać się nie godzi. Umysł potrzebuje swojego pokarmu, jak ciało; w tę rolę, jak w każdą inną, zasiewać trzeba koniecznie, chcąc, aby obrodziła i plon wydała.

Wyjałowienie pewne daje się spostrzegać dziś na polu produkcyi umysłowej u nas—i objaw ten godzien zastanowienia.

Jednym z dowodów są naprzykład rezultaty wszelakich konkursów literackich ostatniej daty: tyle spęzło ich na niczem, a ostatnio i konkurs dramatyczny, nierozstrzygnięty dotychczas, uległ nie tejsamej fatalności.

Niezrażona pierwszym niepowodzeniem redakcyja *Biblioteki Warszawskiej* ogłosiła w ostatnim zeszycie tego pisma, nową odezwę do ludzi pióra, by się pokusili o zdobycie poważnej nagrody rub. sr. 1,000 za napisanie najlepszego względnie „Obrazu historii literatury polskiej w XVII wieku“.

Oby ta piękna i pożyteczna myśl szczęśliwiej się urzeczywistniła od innych projektów!

Termin odsyłania manuskryptów oznaczono na dzień 1 Lutego 1886 r.

Czasu chyba dosyć, temat niezmiernie zajmujący, nagroda pokaźna—tylko pracy i dobrych chęci, naturalnie, przy odpowiednich zdolnościach potrzeba.

Ufajmy, że się to wszystko znajdzie i zachęta oddziała korzystnie,—inaczej znowu przyjdzie się zarumienić ze wstydu.

* * *

Grono uczniów uczennic i kolegów ś.p. Boczyńskiego, powzięło poczciwą myśl uczczenia pamięci zmarłego najwłaściwszym dlań pomnikiem, bo przez utworzenie stypendyum jego imienia. Zasłużył on sobie na pamiątkę taką pracowitem i dobrze, wedle myśli obywatelskiej przeżytem życiem, pracami nad edukacją krajową i językiem ojczystym. P. p. Ludwik Jenike, redaktor „Tygodnika Ilustrowanego“, Dr Ignacy Baranowski i Henryk Krajewski adwokat, są kuratorami funduszu, zebrać się mającego na ten cel ze składek, wnoszonych za pośrednictwem pism periodycznych, w czem i nasze pismo chętny—bardzo chętny—udział przyjmuje. Znaczna liczba tych, którzy zawdzięczają zmarłemu tę rzecz wagi wielkiej, że ich nauczył dobrze władać mową ojczystą, każe się spodziewać, że przedsięwzięcie nie spełnie na niczem. O dary wielkie trudno, bośmy nie bogaci i społeczeństwo ma mnóstwo potrzeb, które zaspakajając się muszą drogą ofiarności publicznej; ale jak góra z ziarenek piasku, tak tysiące składają się ze złotych.

KRÓL AGIS

DRAMAT HISTORYCZNY W 3-CH AKTACH

JULIUSZA SŁOWACKIEGO

Ze zbiorów rękopiśmiennych Biblioteki Ossolińskich

podał

Henryk Biegeleisen.

* A K T I.

((Dalszy ciąg).)

* SCENA VII.

I-szy z ludu

Vivat! vivat!

2-gi z ludu

Co słyhać?

I-szy z ludu

Wolność i równość i podział ziemi i uwolnienie od długów raz na zawsze!

2-gi z ludu

Vivat! vivat!

I-szy z ludu

Nikt więcej nie będzie wierzyicielem, i nikt nie będzie dłużnikiem. Stoły z czarną polewką, jak za Likurga, i panny nagie certujące się w cyrku!

2-gi mieszczanin

Bah! ja mam dwie dziewczki.

I-szy mieszczanin

A cóż ci to szkodzi?

2-gi mieszczanin

Jedna krzywa pod prawą łopatką.

I-szy mieszczanin

W certameu tedy postawisz ją na lewem skrzydle: nie będzie widać.

3-ci mieszczanin

Ho! ho!

I-szy mieszczanin

A co tam znowu?

3-ci mieszczanin

Na ognisku świętem popalono skrypta.—Agis swoje, Agezylausz swoje, Demades i Demochares swoje.

I-szy mieszczanin

Demochares? A, to musiał spalić żonine papiloty. On nigdy nikomu nie pożyczal grosza.

3-ci mieszczanin

Przyniósł, jak inni, założone papiery i rzucił w ogień, z fizjognomią nader smętnego człowieka.

I-szy mieszczanin

Demochares?

3-ci mieszczanin

Domownik zwykły Agisa.

I-szy mieszczanin

W głowę zachodzę, jakie on skrypta rzucił w ogień Eforów—w głowę zachodzę—i dlaczego był

smutny... Chodźmy się popatrzeć na ten ogień i na twarze dłużników.

Chorus

O! biada, zgrajo, która nie widzisz w istocie
Tylko same pieniądze, tylko ducha maskę,
I ofiarę, paloną dawniej świętej enocie,
Bierzesz albo za głupstwo, albo też za łaskę!
Godnaś jest abyś była przez jędzę sieczona,
I szła ciągle jęcząca w Królestwo Plutona 1).

Tam, pod laurowym gajem, przy gmachu Eforów,
Odbywa się najświętsza kraju tajemnica.
W gaj ucieka wążowa Eumenida sporów,
Miłość podnosi serca 2), rozśłonecznia lica.
A ty, o biedny ludu, na końcu ogoła
Czekasz, aż nędzę twoją czarna śmierć po-

kona.
Lecz widzę Leonidasa,
Który z placu smętny wraca,
Zwyciężony przez Agisa.
Żona go Krateryka,
Na progu domowym wita,
I królowa Chelonida
Srebrną mu podaje czaszę,
I syn Kleomenes młody,
Jako Hesperus różany,
Zdziwiony jest, że mu w łonie
Spartańska się dusza ruszyła 3).

* SCENA VIII.

Leonidas

Na krótko wracam, żono. Daj mi 4), Chelonido,
Suplikanta ubiór 5), — czarny płaszcz z ka-
pturem:

Do Kalkioikos idę świątyni.

Krateryka

Wygnały? 6)

Leonidas

Nie jeszcze. Noc głęboka zaziera w te ściany,
Spieszcie się, i okryjcie mnie smutku kolorem! 7)
O, gwiazdy nieśmiertelne!

Krateryka

Czy tak źle ze Spartą?

Leonidas

Agezylausz został obrany Eforem...

Krateryka

Ten pies?

Leonidas

Świątynię Boga jeszcze mam otwartą,
Bądźcie zdrowe!

Chelonida

A mąż mój Kleombrotus?

Leonidas

Zdrowy.

Właśnie się teraz ubrał w mój płaszcz purpu-
rowy,
I ukłuszył się w rękę twoją szpilką 8) własną,
Pokazuje ludowi krwi perełkę jasną,
Klnąc się, że jest królewskim rubinem...

Krateryka

Co, Kleombrotus twój, Chelonido,
Szpileczką twoją żyły przekala,

- 1) „Aż wszystkie duchy jednym duchem strzela z łona“.
- 2) Opuściłem i przed „rozśłonecznia“ — dla rytmu.
- 3) „Stuknęło serce spartańskie“.
- 4) „Wracam do mojego domu“.
- 5) „Pożegnać Lary i was“.
- 6) „My z tobą“.
- 7) „Spieszcie się, ubierajcie mnie na suplikanta“.
- 8) „Szpilką twoją w rękę ukłuszył się“.

Krew pokazuje, i klnie się Bogiem,
Ze jest królewską ta krew płynąca?

Chelonida

Dyanno! w złotym kręgu miesiąca,
Świeć mi posepnie! za ojcem idę.

Leonidas

Ty?

Chelonida

Suplikantką idę za tobą
I męża mego całą ohydę.
Zasłonię Tobie moją żalobą,
Moją miłością, wierną, dziecianną.
Ty siądziesz smętny w gmachu Neptuna,
Jak bez piorunów — bożek pioruna;
Ja tobie jaką piosenkę gminną
Będę śpiewała w progu kościoła....
A harfą moją dorycką będą
Po czole gmachu rosnące ziola;
A siostry moje — pająki małe,
Które po gmachu Arachnie przędą
Płótna, jak gwiazdy — miesiące białe,
Drżące na każdy powiew wietrzyka.... 1).
Azylum twoje, ojczy, mi będzie 2),
Jak jaka nowa kraina dzika 3) —
Ciszy i cienia, gdzie smutno wszędzie,
A jednak wszędzie sercu spokojnie 4).

Leonidas

Idźmy więc, córko — A ty zaś, synu,
Na placu pokaż się śmiało, zbrojnie,
Gotów do walki, gotów do czynu —
A ty siedź w domu, Kratezylejo 5),
Aż wiatry nowe szczęścia zawieją,
I znowu w żagle królewskie wioną....

Chelonida

Przed tobą idę i tą czerwoną
Pochodnią, jak duch wiecznego spania 6),
Oświecam tobie ścieżkę wygnania,
Smętniejszą bardziej 7), niż Styxu tonie. —
(*Odchodzi*).

Krateryka (* sama)

A ja zostałam, Spartańska w łonie,
Bez męża, córki, z tym jednym synem,
Który młodości przechodząc szalał 8),
Lata na orłach, pływa delfinem 9),
I nie wiem: czy dostąpi szaleństwa, czy chwały.

Chorus

O Sparto! cudowny kraju,
Gdzie pierwsza człowieka siła
Posągiem białym świeciła
Pośród laurowego gaju —
Kędy straszny głos Eforów
Wychodził z ciemnej kaplicy 10),
Jak piorun po błyskawicy!
Z chmurną starości powagą,
Obudź się — i niech tęcza ostatnia kolorów,
Który posągu piękność przed ludem odmyka,
Przejdzie po twojem czole białem i nie znika...

- 1) „które (wśród) na każdy powiew zefira“.
- 2) Po tym wierszu następuje:
„Jak ciemność która, (w dziobku słowika)
budzi słowika“.
- 3) Po tym wierszu następuje:
„Ze śpiewa ciągle“.
- 4) „sercu słodko“.
- 5) Słowacki naz. wa tu żonę Leonidasa Kratezyleją, nie Krateryką, jak pierwiej.
- 6) „Pochodnią gwiazdom białym“.
- 7) „W autografie „bardzo““.
- 8) „Młodości Bogon ślubował“.
- 9) W autografie brzmi ten wiersz:
„Latać na orłach, płynąć delfinem“.
- 10) „Z ciemnej świątyni“.

* SCENA IX.

Agis. — Kleombrotus. — Agezylausz i lud 1).

Agis

Uścisknijmy się tu, Kleombrotcie,
Jam nie winien, żeś teścia utracił,
Królem został i nagle owdowiał.
Dawne prawo, przez stare Efory
Obudzone, wyszło ze świątyni —
Leonida z ojczyzny wyгнаło;
A to drugie prawo jeszcze starsze,
Które wiodło niegdyś 2) Antygonę,
Ze za starym królem i zebrakiem,
Szła po puszczach i piosenki śpiewała,
Wstało także, o cnotach budzonych
Słyszac w Sparcie i do Chelonidy,
Niby gołąb, do serca 3) wleciało.

Kleombrotus

O! przekłeta niech będzie!

Agis

Na miesiąc
Złoty, proszę, przebacz tej kobiecie.

Kleombrotus

Nigdy nigdy!

Agis

Więc się rozwiedz na wieki,
I ze Spartą się ożeń!...

Kleombrotus

Agisie!

To nie miłość święta Antygony,
Ale wściekłość przeciwko mężowi.
Ale zemsta, prawdziwie spartańska,
Żonę moją do tego podwiodła.
Ze mię, słyszac już królem, rzuciła
I gdzieś teraz, z poza laurów kościelnych,
Jako satyr schowany wygląda,
Niby szydząc 4): „A cóż zimno ci, królu?“

Agis

Lepszej serca ludzkiego połowie
Wolisz czyny przysądzać. Żegnaj mi,
A przeciwko żonie nie burz serca.
(*Odchodzi*).

* SCENA X

Agezylausz

Jestem. Pomogłem ci wiele
Dzisiaj tą gwiazdą srebrną....

1) Następujący ustęp jest w autografie przekreślony:

Agis

Daj mi prawicę twoją, Kleombrotcie,
A czyśmy razem jak króle i bracia.
Przez naszą zgodę, dodając siły
Eforom, którzy są sprawiedliwością.
Do nas należy czyn prędko i skory,
A ten przezemnie ma być rozpoczęty.
Aratus, który zebrał Achajczyki,
O pomoc mnie spartańską uprasza;
Będzie miał w wojsku Spartańskiego Króla,
Który jest taką strasliwą świętością
Przez same dawne Boga namaszczoney.

Druga odmiana:

Agis

Daj mi teraz prawicę twoją, Kleombrotcie,
Ścisnijmy się jak bracia a bronzowej enocie
Postawmy kościół twarde w sercu.

Trzecia odmiana:

Agis

Uścisknijmy się, Kleombrotcie! Jam nie winien, żeś nagle utracił
teścia i owdowiał. Wyrok Eforów i dawne prawo zbudzone — wy-
гнаło Leonidasa, a dawna także miłość, od Antygony aż do na-
szych czasów sercem córek rządząca, żony cię twojej pozbaWiła.
2) „Miała, która wiodł“.
3) „gołąb“ przez okno“.
4) „I drwi ze mnie“.

*Agis

Nie żądałem wiele,
Przed Eforami stojąc w ognistym zapale,
Gdy słowo moje grzmiało w ogromnym ko-
[ściele,
Abyś mnie tak pomagał, króla powaleniem! 1)
Widzę go gdzieś w świątyni pod dębowym cie-
[niem,
Na ułamku kolumny, którą przed nim zwałił
Jakiś wiatr, że przeciwko nam wyteżył ducha,
Zrenice jasne ogniem mściciela zapalił
I klnie, a córka stoi na wietrze i słucha,
Cała drżąca.

*Agezylausz

Ucieknę wkrótce do Tegei.

*Agis

Czemu to mówisz?

*Agezylausz

Snycerz kiedy posąg klei,
Zebrawszy roztrzaskane piorunem kawałki,
Naprzód składa, a części w pył rozbite miałki
Innemi zastępuje. Tak królewska 2) cnota
Dwukoronowa nową część ma z Kleombrota,
I z tą się musi trzymać, aby długo trwała... 3)
Cóż, gdy się znajdzie tamten znów kawałek
[ciała,
A lud pomiędzy dwoma starą część wybierze?! 4)

*Agis

Cóż radzisz?

*Agezylausz

Posłać jakie najemne żołnierze—
Zabić Leonidasa.—Ja, który obalam
Posągi, radzę zabić...

*Agis

Ja król, nie pozwalam...

*Agezylausz

Dobrze, więc o tem więcej nie będzie tu mowy....

*Agis

Stał mi nagle w oczach jak trup 5) marmu-
[rowy.

(de Agezylausza)

Chodź ze mną, Agijatis napędzę jak dziewczę,
Aby nam pierwszą czarną zwarzyła polewkę,
Ujrzysz i Archidamią 6) przy saganie starą,
Od ognia purpurową, dymu kłębem szarą,
Jakby z kraju Plutona, gdzie porządek czyni
Likurgowy—przysłana do nas ochmistrzyni.
Potem ci wina małą czareczkę podadzą, 7)
Jeśli pić zechcesz. Zielem świętym dom wy-
[kadzą,

I zasiądą do wrzecion wszystkie trzy 8) królowe,
Nam zostawiwszy wielką o kraju rozmowę.

(Ochodzą).

* Chorus

O! ciesz się, bo, zaprawdę, w królewskie żywoty,
Nemezis wprzędła tylko jeden 9) wieczór taki,
Jeden, co się zamieszła, labędź zorzą złoty,
Między chmurne, jęczące, zórawiane ptaki.
Innych szczęść także 10) ludzie kosztują niebie-
[skich,
Ale im ku radości braknie serc królewskich.

Ciesz się więc, bo już słyszę, jako 1) orły skalne,
Różne jęcze lecące tu z piórnym klekotem,
Które mieszają moje muzyki choralne
I biją życia wielki takt odległym grzmotem.
Prędejj, prędejj! na szczęścia odpoczywaj łonie,
Bo ci nieszczęścia z szumem kortyny odsłonię.

(Dalszy ciąg nastąpi).

KTÓS

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

przez

J. I. Kraszewskiego.

(Dalszy ciąg).

Szalawski napróżno chciał się dowiedzieć
szczegółów; Paczusi czasu nie miał, śpieszył do
Maniusi...

Dorożka pełna była sprawunków...

Dał przyjacielowi *rendez-vous* na późną go-
dzinę wieczorem w cukierni i poleciał dalej.

Do takiego obalamucenia z gorączką Paczusi
dotąd nie był skłonny, i przyjaciel uznał, że na
niego musiała przyjść godzina... owa godzina,
która dla najpłochszych przychodzi wreszcie, ja-
ko zwiastunka szczęścia, często jako przepowie-
dnia niedoli.

Szalawski czekał długo przy herbacie na przy-
jaciela, który przybiegł nareszcie, zmęczony, roz-
targniony, szczęśliwy, niespokojny, gadatliwy—
słowem: wyjątkowo rozbudzony i rozgorączko-
wany.

Józio, który był w swoim zwykłym stanie po-
wszednim, a pulsa mu nie były ani o ćwierć sekun-
dy żywiej, niż zwykle — chciał naprzód leczyć
zimną wodą przyjaciela.

Emil mu się wypowiadał. Tak—miał to prze-
konanie sam, iż się kochał poważnie i że ta miłość
mogła go zaprowadzić do ołtarza.

Samo to przypuszczenie było wielkiego znacze-
nia, bo nigdy dotąd się nie zrodziło w myśli i ser-
cu Paczuskiego. Pragnął Manusię pokazać przy-
jacielowi—był nią dumny.

Mówił, że w niej znalazł istotę dopełniającą—
ideał... że tylko z nią mógł być szczęśliwym i t. d.
Prozaiczniejszy Józio począł rozpytywać o pań-
stwa Bydgoskich, rodzinę i mienie.

Panna mogła mieć parękroć stotysięcy posagu
conajmniej: rodzina była zacna,—najmniejszej plam-
ki na niej, ani koło niej; Emil był bogaty, matka
jego w przyjaźni z matką Maniusi: wszystko się
więc składało cudownie.

— Niezmiernie mnie cieszy to twoje szczęście,
kochany Emilku—rzekł, wysłuchawszy tego Sza-
lawski—ale cię proszę i zaklinam, nigdy nie
rób popijanemu. Dotąd jesteś i robisz na mnie
wrażenie człowieka pod hełmem... Wyrzeźwij
się, myśl... rozważ i—nie śpiesz.

Paczusi jaknajuroczyściej zapewnił przyja-
ciela, że też wcale nie myśli tych rozkosznych
dni rozmarzenia, niepewności—skracać pośpiesz-
nym krokiem.

Przewidywał tylko zawczasie, iż ta miłość—
pierzwsza prawdziwa—nie rozwieje się płocho, jak
inne.

— Zobaczysz Maniusię—to anioł!—dokończył,
łamiąc ręce i oczy wznosząc do góry.

Szalawski parsknął.

Upłynęło tygodni kilka.

Sylwan Horpiński zjawiał się jednego wieczo-
ra znowu u pani Zawierskiej. Przywitawszy się
z gospodynią, ukloniwszy zdala pannie Michali-
nie, zaszył się potem wśród mężczyzn, zawiązał
rozmowę obojętną i zdawał się więcej rozpatrywać

1) „słyszę różne“.

i rozsluchiwać w towarzystwie, niż czynny brać
udział w zabawie.

Oko jego biegało wszędzie ciekawe, niczem się
nie zajmując zbytecznie. Stał chłodny jakiś—
smutny, obcy wśród ludzi, którzy wszyscy wię-
cej niż on byli porwani prądem życia. Był spek-
torem, w którym domyślać się mógł ktoś suro-
wego sędziego i postrzegacza.

Przez dosyć długi czas nie widziano go ani
tutaj, ani w mieście nigdzie. Głuche wieści cho-
dziły, że był gdzieś na wsi. Nie dziwiono się
temu, bo nieraz już tak zniknął z horyzontu i ró-
wnież niespodzianie powracał.

Wszyscy znajomi jego witali go mile, gdyż
nikomu nigdy nie był zawadą, a dla wielu był mi-
łym i usłuznym towarzyszem.

Salwator, ów pasożyt chudy i długi, który
wszystkim rad był jakąś plotką się przysłużyć,
nie miał nic pilniejszego, spotkawszy się z Hor-
pińskim, nad zdanie mu sprawy z wyścigów, a przy-
pomniawszy sobie Nitosławskich, dodał, iż wszys-
cy byli uderzeni ich podobieństwem do p. Sylwa-
na, szczególnie Emil Paczusi, który z tem
biegał, głosił to i aż do śmieszności się zajmował
przypadkiem tem zbliżeniem fizjonomii. Dodał,
iż Paczuskiego skłoniło to do przypuszcze-
nia jakiegoś pokrewieństwa.

W ustach Salwatora, oszczercy z powołania—
wszystko nabierało szczególnego znaczenia. Nie
obwinał nikogo, nie okazywał jawnej złośliwo-
ści ani niechęci: owszem tłómaczył, łagodził,
uniewinniał każdego, ale — miał ten talent, że
wszystko, co puścił w świat, jadem było zapraw-
ne...

Horpiński, który słuchał napozór obojętnie,
cierpliwie, jednym uchem, chociaż niekiedy ru-
mieniał się i bladł, zdradzając się małemi oznakami
niecierpliwości — po rozmowie tej z Salwatorem
odszedł do domu, posepniejszy niż zwykle.

Nim się jednak rozstali, na przypuszczenie po-
krewieństwa jakiegoś z Nitosławskimi z Podola,
odparł kategorycznie, iż na Podolu ani rodziny,
ani znajomych nie miał, że o Nitosławskich pier-
wszy raz w życiu słyszy.

Salwator spodziewał się przy tej sposobności po-
chwycić coś o—prowincyi, do której się pochodze-
niam zaliczał Horpiński, ale — zawiódł się. Syl-
wan nie uznał za potrzebne tłómaczyć mu się ze
swej genealogii.

Ponieważ Emil Paczusi ciągle teraz był zaję-
tym panią Bydgoską i Maniusią, żył tylko niemi,
a wszystko zresztą stało mu się obojętnem — nie
rychło więc się spotkali z Horpińskim.

Pani Bydgoska regularnie bywała na Czwart-
kach pani Zawierskiej, i tu towarzyszający jej Pa-
czusi znowu się zszedł z p. Sylwanem.

Nie spostrzegł tego w początku, iż wzrok, któ-
rym go zmierzył Horpiński, był pełen grózb ja-
kichś i niemal pogardy. Wejrzenie to jednak
tak przelotnie i chwilowo zdradziło Sylwana, iż
pochwycić je było trudno, a zaledwie jak błyska-
wica przesliznęło się po Paczuskim, natychmiast
wyraz się zmienił — złagodniał, ostygł i uśmiech
jakiś zimny całej fizjonomii nadał zwykły jej
charakter zobojętnienia.

P. Emil z konieczności tylko oddalał się od
krzeselka Maniusi, ale musiał parę razy odbyć
wędrowkę po salonie i w jednej z nich oko w oko
się zetknął z Horpińskim.

Ten przywitał go nader uprzejmie — może aż
nadto, tak, że Paczusi, niezupełnie czysty w su-
mieniu, trochę się zmieszał.

— Dawnośny, dawno pana tu nie widzieli —
odezwał się pośpiesznie.

— Wątpię, aby się to komukolwiek uczuło da-
ło—odparł Horpiński—bo nie mam wogóle szczę-
ścia do ludzi.

— Mylisz się pan.

— Nie, nie myślę się — ciągnął dalej Sylwan
z obojętnością. — Nic to nie dowodzi, że pan wy-
jątkowo łaskaw jesteś na mnie. Jeśli się mną
kto zajmował, to chyba tylko przez próżną cieka-
wość.

Rozśmiał się dziwnie Horpiński i do milczące-
go, nieco zmieszanego Emila mówił dalej:

— Powiadano mi, że jakieś upatrzone podo-
bieństwo rysów, niejwem już tam do kogo... wie-

1) „pomagał wobec tego lu“.

2) „Tak spartańska“.

3) „aby była cała“.

4) „starą część zachowa“.

5) Pierwotne brzmienie, przekreślone w rękopiśmie i dopisane u góry niewyraźnie: „jak szkło“ (?)

6) „Archidamią starą“.

7) „Potem ci czarke małą dadzą, pełną winą“.

8) „...wrzecion obiedwie...“.

9) „Jeden wieczór wprzędzono taki“.

10) „Innych wieczorów“.

lu śmiesznych komentarzy i domysłów było podobieństwem!...

Paczuski uczył się osobiście dotkniętym. — Niech się pan temu nie dziwi — rzekł — bo istotnie, patrząc na panów Nitosławskich, trudno się było nie zdumiewać uderzającym tem podobieństwem.

Horpiński ruszył ramionami.

— Bardzo żałuję, że nie mógł stawić na okaz dla porównania — odezwał się kwaśno. — Nie mógłby pan mnie objaśnić, — z kąd są ci moi sozjowie, z jakiej prowincyi?

— Jest to znakomita, bogata rodzina z Podola — odparł Paczuski. — Mają stadniny sławne, jeden z braci przebywa w Angli, handlują na wielką skalę zbożem, mają dom komissowy.

Horpiński słuchał z uwagą.

— Pochodzą z Podola? — podchwycił — strona, w której ja nigdy rodziny ani powinowatych nie miałem...

— A pomimo to — zawołał Paczuski — podobieństwo jest, można powiedzieć: braterskie. Mniej-sza o rysy, ale ruchy, głos, wszystko...

— To nader pochlebne dla mnie! — szydersko odezwał się Sylwan, którego twarz była blada, a oczy się iskrzyły — nader pochlebne.

I począł się śmiać sucho jakoś, a złośliwie.

— Trzebaż, abym właśnie na tę chwilę wyjechał! — dodał. — Zawsze miłem jest choć z twarzą być podobnym do milionera!...

Emil zamilkł; czuł, że Horpińskiemu nie pochlebiali to wcale — gniewało go raczej.

Po chwili Sylwan zmienił rozmowę, nie porzucając szyderskiego tonu, jakim ją prowadził.

— Widzę, że do towarzystwa zwykłego pani Zawierskiej nowa gwiazda przybyła — rzekł, zwracając się do Paczuskiego. — Sliczna panienczka... zaledwie rozkwitły pączek... Na mnie smutne czyni wrażenie taka świeżuchna roślina, przesadzona do miejskiego wazonika. Bogdajby tam kwitła, pod cieniem lip domowych!

— Dzięki Bogu, powietrze, słońce i życie Warszawy nie jest tak dla kwiatków zgubne, aby się tu one obawiać mogły o siebie — rzekł Paczuski.

— Tak się panu zdaje? — spytał Sylwan. — No, nie wiem! Wolałbym jednak zawsze, aby ludzie żyli tam, gdzie im los dał przyjąć na świat. Przesadzania i aklimatyzacye są niebezpieczne.

W ciągu tej rozmowy Emil ciągle niespokojnie spoglądał ku Maniusi, a w końcu, długiego osierocenia nie mogąc już wytrzymać, wymknął się Sylwanowi i pospieszył — na służbę.

Horpiński nie miał sposobności zbliżenia się do panny Michaliny, bo zwykle nie narzucał się jej wcale, jakkolwiek miłą mu była z nią rozmowa. Najczęściej ona sama przez grzeczność go szukać musiała i zatrzymywała się chwilę, aby mu okazać, iż go tu widziano mile.

I tego wieczora, po panu professorze, po pejsażystyce starym, po starym szambelanie, przysłała kolej na Horpińskiego.

— Pan od nas coraz częściej uciekasz — odezwała się do niego.

— Gdy Warszawa staje się zbyt przepełnioną i ożywioną — mam zwyczaj ją opuszczać — odparł Sylwan. — nie żebym miał wstręt do ludzi, ale stosunki naówczas są wielce nużące a nie opłacają się znajomościami, po których nazajutrz niema śladu...

— Nie znajdujesz pan zajmującym choćby przypatrywania się tej niezmiernej różnorodności typów! — zapytała Misia.

— Typów właściwie nie widzę tak wiele; dają się one sprowadzić do kilku — rzekł Sylwan — a jednokrotności — z małemi odmianami, aż do zbytku są teżsame...

— Byłeś pan na wsi?... w których stronach? — spytała nieco nieogłędnie Misia.

Horpiński zarumienił się lekko.

— Polowałem w lasach nie zbyt oddalonych — odpowiedział — jeździłem konno, studyowałem trochę kraj, którego małokto lepszą znajomością pochwalić się może. Dziwna to, doprawdy, rzecz, jak na małą odległość sięga w domu ciekawość ludzka, gdy za granicą tak jest nienasyconą.

— Bo tam może więcej jest zajmujących przedmiotów? — szepnęła panna Michalina.

— Nie wiem, czy może być co bardziej zajmu-

jącem dla człowieka nad to, co go najbliższej tycze. W kraju własnym najmniejsza rzecz powinna po- ciągać.

I natychmiast przerwał sobie, uwagę robiąc; iż w salonie wiele nowych przybyło postaci.

Ponieważ oko jego zwróciło się na pannę Maniusię — Michalina uśmiechnęła się.

— Nieprawdaż, że sliczna ta miluchna panna Bydgoska... prawdziwy kwiatusek!...

— Około którego już widzę natrętnego motyla — przerwał Horpiński.

— Jakby stworzeni dla siebie — odparła panna Michalina. — Są nawet od dzieciństwa znajomi...

— A! — rozśmiał się Sylwan — więc już tylko powinszować i pobłogosławić! O, biedny pączek różany!...

— Biedny? — podchwyciła panna.

— Tak, bo ten dawno znajomy motyl już ma dosyć otrzępane skrzydełka — dodał Horpiński — i na jego stałość niewiele można rachować.

— A! — przerwała Misia — pan jesteś za surowym dla tego poczciwego, usłużnego, grzecznego Paczuskiego! Czy masz co przeciwko niemu?

— Ja? — podchwycił z niezmierną żywością Horpiński, którego twarz się zarumieniła — Ja? Nietylko że nie mam przeciwko niemu, ale go szanuję i lubię, oddaję mu sprawiedliwość. Jesteśmy z nim na bardzo przyjacielskiej stopie i wdzięczny mu być muszę, bo mi okazuje wiele życzliwości; ale to nie przeszkadza, bym, tak, jak dziś jest, nie mógł go uznać dojrzałym do ożenienia.

(Dalszy ciąg nastąpi).

DELIKATNOŚĆ UCZUCIA.

W szeregu odczytów, które królowa Małgorzata urządziła, tej zimy we wszystkich wielkich miastach włoskich na cel dobroczynny oświaty ubogich dziewcząt, przemawiała między innymi Bianka Conegliano ze starego pnia weneckiej szlachty hrabiów Conegliano, wysoce zasłużonych ojczy- stej sprawie wyswobożenia się Włoch, szczegól- niej przez swój stosunek do ludu wiejskiego. Si- gnora Conegliano traktowała przedmiot nazywa- ny zwykle delikatnością uczucia, co przecież ta włoska pani określiła przez: pojętność miłości „L'intelletto di amore“. Dar to przyrodzony, jak utrzymywała słusznie, z głębi naszego ducha, z tre- ści moralnej istoty naszej wypływający, niezawisły od wykształcenia umysłu, bo nieraz brakuje go osobom najstaranniej wychowanym, osobom wie- le umiętym, a spotykamy go często u ludzi najzupełniej prostych. Jest to intuicya uczu- cia, domyślność serca, przez którą odgadujemy usposobienie i życzenia innych, a nawet ten zmienny stan ducha, który się zowie humorem, i wskutek tego nie urazimy nigdy miejsc serca bo- lących, nie nacisniemy słabych, nie wykażemy ni- komu jego niższości i stron ducha lichszych, nie obrazimy go, nie zawstydzimy w tem, co ukryć pragnie, nie zasłonimy tego, co wykażać usiłuje. Nie posiadając takiej pojętności uczucia, można być, mimo wiedzy i woli, względem najmiłszych nam osób „zimnym dreszczem, który po skórze chodzi, octem, który na rany kapie“ i człowiek pozbawiony tego moralnego zmysłu delikatności serca, nie potrafi nigdy być dla ludzi rzeczywi- ście przyjemnym, bo z jednej strony nie potrafi woli ich i chęci odczuć, z drugiej zaś woli i chęci własnych kierować myślą, pierwiej na nich, niż na siebie zwróconą. Należy też zaliczać to do najsmu- tniejszych zjawisk życia, gdy osoba delikatna i na pewne względy wrażliwa, zostaje złączona z na- turą grubą i rozmaitych odcieni uczucia zrozu- mieć niezdolną, a wszystko jedno, czy mężczyzna to jest czy kobieta, bo cechy niedelikatności wy- stępują tu jednakowo i jednakowo przykreść spra- wiają.

Można posiadać wszystkie główne cnoty uczu- ciowego człowieka, można stale i niezachwianie obowiązków swe spełniać i niczem brudnym się nie

spłamić: a mimo to przy braku delikatności serdecznej otoczeniu swemu szczęścia nie dawać i ni- kogo silnie do siebie nie przywiązać, nie wywie- rać na nikogo ulepszającego, uszlachetniającego wpływu, lecz, przeciwnie, przez nietrafność swoją w rzeczach uczucia złą skłonności w ludziach rozwijać i to, co dobrem nie było — pogorszać. De- likatność uczucia podwaja wartość miłości i da- rów, które ze sobą przynosi, tkliwość miłą, sta- ranność szacowniejszą czyni; i ztąd wywołuje ży- wność wzajemności odpłatę, nadaje kochającemu lub kochającej wyższy wpływ, silniejsze oddziały- wanie na tych, których kocha. I tak osoba ser- cem delikatna nie mówi nigdy o dobrodziejstwach wyświadczonych, o przykrościach, od których nas uwolniła i nie przygniata też ducha naszego ciężarem wdzięczności swojej, która wtędy tylko prawdziwą i głęboką stać się może, gdy wyma- galną nie jest — gdy jej nie potrzeba w brzęczącej monecie głośnych wyznań zaciągniętego długu spłacać. Są przecież ludzie, którzy inaczej pō- dobne go stosunku nie rozumieją; są, naprzykład, tacy, którzy gwałtem prawie usługę nam oddawszy, nie omieszkają następnie opowiedzieć, co przytem znieść musieli: jak ciężko im było coś dźwigać, jak daleko im było gdzieś iść, jak wiatr wiał im w oczy, deszcz padał, lub słońce paliło, a my, dotknięci kosztownością doznanej łaski, zaczyna- my żałować, żeśmy ją przyjęli i jeżeli nie mo- żemy odsłużyć jej zaraz, zostaje nam przykre uczucie zadłużenia się, co cięży tak, że wolimy prawie tych, co na stronie się trzymając, z pomo- cą nam nie śpieszyli. Jest to uczucie niedobre, które niewątpliwie sumienie winą niewdzięczno- ści nam obciąża i moralnie nas psuje, ale taką już jest natura ludzka, i osoby sercem niedeli- katne, tem też najciężej grzeszą, że ją wiedzą na pokuszenie.

Ludzie delikatnego uczucia nie urażają, nie obra- żają nikogo i sami też urażliwymi, obraźliwymi nie są. Nie mają tego gorącego temperamentu, który przy najmniejszej przykrości burzą gniewu, lawiną gwałtownych słów wybuchają; przez deli- katność zniosą cicho rzecz niemilą i zyskają też czas, który uniesienia uspakaja i rzeczym wyjaśnić się pozwala, omyłki, niesłuszne podejrzenia usu- wa. Ludzie delikatni, wchodząc przez domyślność serca w położenie drugich, uwzględniają do- brotliwie okoliczności i biorą w rachunek wszyst- ko, co mogło tu być powodem do winy mimowol- nej, i wyrozumiałość jest tu skutkiem od- czucia serdecznego stanu innych. Nie są też kłótniwi i wtędy nawet, gdy mają słuszny i niez- przeczony już powód do żalu, do urazy, gniewem się nie unoszą i wymówek nie czynią przez deli- katność uczucia już nie na innych, ale na własne ich serce zwróconą: przez delikatność uczucia, które ma dumę swoją i nie domaga się gwałtem tego, czego im ukochana osoba jako troskliwości, jako zrozumienia potrzeb ich i uczuć własnowolnie nie dała. Za ciężko im, za boleśnie o to czynić i mi- lcząc, a z pewnością smutne to milczenie częściej dobry skutek wywiera i drugą stronę do uznania swej winy i żalu za nią doprowadza, niż najhała- śliwsza kłótnia, w której namiętności się zaognia- ją, uczucie doznanej krzywdy potęguje i rozbrat między sercami sprowadza.

Osoby delikatnego uczucia umieją szlachetnie przebaczać i nigdy nie są w gniewie zacięte, sko- ro tylko dostrzegą żal prawdziwy, i to jest cha- rakterystyczną ich cechą, że nie żądają, a nawet nie dozwolą winnym przejść przez upokorzenie przeproszenia ich: pierwsze rękę do zgody wy- ciągną, a gdy raz powiedzą: — niech to będzie za- pomnianem... już nigdy żadnym słowem choćby ubocznej wymówki do smutnej przeszłości nie wrócą. I nigdy też nie korzystają z wiadomości o jakimś fałszywym kroku, o jakimś wstydzającym czynie tych, z którymi przestają — nigdy; delika- tność uczucia stoi tu na straży, aby zasłona, któ- ra nad przeszłością zapadła, odchylną nigdy nie była.

Signora Conegliano czyni w końcu pod wzglę- dem pojętności uczucia porównania między na- rodami. Niemcy, mimo wielu zalet uczuciowej ich natury, wydają jej się zbyt tępymi i ciężkimi, aby mogli odczuć te wszystkie delikatne drgnię- cia serca ludzkiego, o które jej chodzi. Francuz

zdaje się czuć żywiej, i bystrzej serca innych przynikać; posiada on pozornie wszystkie te przymioty, które składają się na delikatność uczucia. ale złuda to jest jedynie, bo wszystko co w nim pociąga na oko, pochodzi z głowy, a nie z serca, które chłodne jest i płytkie. Są to w miłości dworacy, i tak mężczyźni jak kobiety tego narodu za mało mają słodyczy i tkliwości, aby umieli kochać delikatnie i głęboko, aby mogli czynić z miłości błogosławieństwo życia. Francuzka jest głównie dowcipną i zalotną, wdzięk jej i powab jest zbyt salonowej natury, aby się stawał rozkoszą życia u domowego ogniska. Umie ona i chce przedewszystkiem podobać się, i dla tego może Francuz nie nauczył się kochać prawdziwie.

To, co włoska prelegentka powiedziała o Francuzce, można zastosować ogólnie do kobiet z podobnymi wadami, czy przymiotami: do zalotnych, dowcipnych efemeryd salonowych z błyszczącymi skrzydełkami, takich, na które poeta nasz woła:

Kobieto świata! tyś jak z płótna kwiatki....
Ni w tobie uczuć kochanki, ni matki!!...

O nas i o Anglikach niema wzmianki żadnej; włoski mężczyzna nie występuje też wcale, ale zato kobieta włoska jako typ, przedstawiona jest w świetle najczystszej ideału kobiecości. Wprawdzie prelegentka przyznaje na wstępie, że dotychczas jest ona naukowo mniej wykształconą od kobiet innych cywilizowanych narodów, ale wszystkie te braki zastępuje jej w zupełności „intelletto di amore“. „Tkliwa sercem, słodka w obejściu, łagodna w postępowaniu, szybko pojmująca i gotowa zawsze odpowiedzieć uczuciem na uczucie, posiada ona umiejętność sprowadzania ukochanym swoim odpoczynku, gdy są zmęczeni,—uspokojenia, gdy rozdrażnieni. Nie potrafi rozmawiać o nauce, o polityce, dyskutować w kwestiach moralności abstrakcyjnej, ale jej uczucie pomaga ludziom żyć, bo umie być o drogie sobie istoty troskliwą, umie w cichości sympatyzować z troskami i trudami mężczyzny, okazać to tkliwie, choć nie przez słowa, a ten delikatny rodzaj jej milczącego współczucia, przynosi ze sobą uczucie ulgi i słodkiej wdzięczności, które wiąże serca.

„L' intelletto di amore“ nie może też łączyć się z pychą, z próżnością, z samolubstwem, nie może żyć w jednym sercu z zazdrością, podejrzliwością, gniewliwymi wybuchami, nie może sprzymierzyć się z umysłem płochym, z pragnieniami lekkomyślnymi. Delikatność uczucia przystępna jest dla każdego, od królowej do chłopki, i trzeba tylko, aby ją posiadać, kochać innych a nie siebie, w rachunek życia brać, nie swoje lecz innych chęci i życzenia, nie swoje lecz innych prawa, i mieć serce nie dla siebie, lecz dla innych wylane.

„L' intelletto di amore“ to zdaniem Bianki Conegliano, spuszcza, którą Włoszka dostała po Rzymiance, bo rodzi się z tej miłości a raczej jest sama tą miłością, którą córka i małżonka Kwirytów nazywała Wenus Urania—miłość niebieskiego pochodzenia, nie namiętność samolubna, ale ta uznana i przyjęta przez Chrystyanizm, zowiący ją *Charitas*, a której dano to za cechę, że, „wszystko może i wszystko chce“.

M. I.

ROMANTYZM WE FRANCYI

przez

JERZEGO BRANDESA

w streszczeniu podał

Edward Lubowski.

(Dalszy ciąg—Ob. Nr 4).

Wszystkie te postacie nie mają też krwi i ciała, zato Raymond, symbolizujący społeczny egoizm, próżność i słabość charakteru, udał się prze-wybornie. Liczni następcy tej postaci w jej powieściach, dowodzą głębokich studyów świata

rzeczywistego. „Indyana“ kończy się odsłonięciem bezwzględego egoizmu rodu męzkiego, który źródło swe bierze w urzędzeniach społecznych. Pisząc wszakże *Indyanę*, nie myślała jeszcze autorka napadać żadnych instytucji, nawet małżeństwa; pesymizm jej jeszcze wtedy nie był w tej mierze ugruntowany; tłómaczy się nawet w liście do Nisarda, że napadała małżonków, nie zaś małżeństwo. Istotnie, w *Indyanie* i *Walentynie*, był to raczej młodzieńczy polot i marzycielski protest, a jednak w uczuciach tych i reflexyach tkwiło już coś, co psuło porządek społeczny. Dlatego nie dziwić się, że autorka stała się przedmiotem ostrych napaści, przeczuwano bowiem, że te uczucia i myśli odmieniają kiedyś prawa społeczne.

Nawet idealizm tych książek czyni je rewolucyjnymi, gdyż autorka każe się rozwijać *wewnętrzny* światu swobodnie, nie troszcząc się o to że przez to *zewnątrzny* się rozpada, a malując jedno tylko uczucie miłości, wskazuje, jak jej prawa nieustannie krzyżują prawa społeczne. Uznając konieczność małżeństwa, podkopuje jednak wiarę w jego wieczność. Dzisiejszy francuzki naturalizm starał się przez zemstę zarzucić niemoralność pierwszym dziełom p. Sand. Zola ostrzegł zawsze przed niebezpieczeństwem dla społeczeństwa, gdy jednostka chce wyjść z zakresu jej granic i szczyty się sam tem, że nigdy nieokreślonej namiętności nie przedstawiał w uroczym świetle, ale ją zawsze nurzał w błocie. Mógł był wszakże dodać, że nigdy on i jego szkoła nie posługują się wyższą moralnością, tylko tą zdawkową i powszednią, i że nigdy na inne społeczeństwo nie patrzą, tylko na to, które istnieje. Ograniczyli się sami gwałtem, trzymając się ściśle zewnętrznej rzeczywistości i z niej tylko wyciągając wnioski. Ztąd pochodzi, że przy całej swej zuchowości w malowaniu stosunków społecznych, których poprzednia literatura tykać nie śmiała, są małowolni i tchórzliwi jako myśliciele i moralisci. Szukają w tem swej siły, iż zgadzają się z powszednimi pojęciami moralnymi, pyszną się z tego, iż nazywają występkiem to, co i inni zwą występkiem, i że przeciw niemu wzniesają obrzydzenie, że nie są takimi, jak grzesznica Sand. Ale nie wiedzą o tem, że „moralność“ naturalistycznej szkoły jest jej poetyczną słabą stroną, gdy „niemoralność“ p. Sand, jest silną jej stroną niezaprzeczenie. W pozornie zuchwałych książkach naturalistycznej szkoły niema ani jednej takiej zuchwałości, jaką widzimy w *Horacym* p. Sand, w którym jedna z głównych osób daje niejako streszczenie filozofii namiętności wszystkich jej utworów. „Zdaje mi się, że tę miłość, która wznosi i umacnia nas uczuciami i myślami, szlachetną namiętnością nazwać można; tę zaś, która nas czyni egoistami i tchórzami—złą. Każda przeto namiętność jest: albo prawną, albo zbrodniczą, stosownie do tego, czy ten lub tamten daje rezultat, bez względu na to, czy oficjalna społeczność, która przeciw nie jest najwyższym trybunałem ludzkości — czasami złą namiętność uprawnia a dobrą potępia“.

Lelia i *Jacques*, są wyrazem bajronicznej boleści świata p. Sand. Z jej nowel stawia Brandes wysoko: la Marquise: „bardzo też interesująco odsłania jej duszę, z powodu *Lettres d'un voyageur* i mało znanego jej listu do Rolinata. W następnych swych dziełach nadaje autorka wyższość postaciom kobiecym nad męzkie. Axiomat Rousseau'a o pierwotnej dobroci natury a zepsuciu społeczeństwa stanowi tło i podstawę wszystkich jej powieści. Fiamma w „Simonie“, Edmea w „Maupracie“, i „Consuelo“ są czystym wyrazem typowej młodej dziewczyny u p. Sand. Zadaniem dziewicy jest: natchnąć zapalem męzczyznę, leczyc go i wychowywać. Ona jest kapłanką patriotyzmu, wolności, sztuki albo cywilizacji. *Consuelo* jest najsłynniejszy, zaczyna się pomistrzowsku, ale gubi się w romantycznym marzycielstwie.

Obok tych dzieł są inne, w których dojrzała kobieta jest bohaterką, a w których czasami Sand samą siebie przedstawia. Takiemi są: „Le secretaire intime“ i „Lucretia Floriani“, jedno z najciekawszych plodów jej pióra. Wielu czytelnikom wyda się to ostatnie oburzającym literackim paradoxem, ponieważ autorka chce tu podtrzymać niewinność i skromność włoskiej aktorki oraz au-

torki, która ma czworo dzieci... nielegalnych. Autorka chciała przedstawić potrzebę zdrowej natury kobiecej, potrzebującej uczucia, o tyle szlachetnej, że nigdy poniżyć się nie da, a tak artystycznie obdarzonej, że pomimo zawodów, źródło wrażeń w niej nigdy nie wysycha.

Cokolwiek-by Brandes w obronie tego dzieła powiedział, nie oddali wrazenia, że autorka burzliwy swój żywot kunsztownie usprawiedliwić chciała. Całą jej psychologią, którą Brandes znakomicie nawiązuje z innymi ustępami odpowiedniami, innych jej dzieł, a mającą zapoznać nas z dziwnie artystyczną jej istotą, opuszczamy, odsyłając ciekawego czytelnika do samego dzieła. *Lucretia Floriani* stanowi nareszcie najostrzejszy kontrast do malej grupy delikatnych i prostych opowieści wiejskich. W rzeczywistości odskok między „La mare au diable“, „François le champi“ i „La petite Fadette“, nie jest tak wielki jak się zdaje. P. Sand pociągało do wiejskich sielanek tosam poczucie natury na sposób Rousseau'a, które jej protestom anti-społecznym nadało taką wagę. Auerbach dawał jej natchnienie. Zapewne, że jej francuzcy chłopci nie są „prawdziwymi“ w tym sensie, co „les paysans“ Balzaca; są oni delikatnie czujący i sympatyczni i mają się tak do prawdziwych wieśniaków, jak pasterze Teokryta do greckich, ale powieści tych przymiot leży już w samym wyborze przedmiotu. Są one naiwne; wszystko co Sand miała w sobie naiwnie-wieśniaczego, co w niej pokrewne było ze wzrostem rośliny, z powiewem wiatru wiejącym nitząd nizowąd, wszystko to nieświadome, milczące, tak wyraźne w jej zewnętrznym zetknięciu ze światem, a tak pominięte w jej dziełach poprzednich dlatego, że je przykryły patos i deklamacja,—tu ujawniło się w prostocie pełnej naiwności. „La mare au diable“ to perła w tych opowiadaniach wiejskich. Powieść ta zaznacza punkt kulminacyjny idealizmu we francuzkim romansie. Sand napisała tu w rzeczywistości to, co wprzódy postawiła jako swój programmat: to jest poemat sielankowy XIX stulecia.

IX. Balzac.

Wobec Sand wznosi się nad poziom mąż, którego sztuka była wprost przeciwną jej sztuce. Podczas gdy ona skłoną była potępić raczej porządek społeczny, aniżeli malować; on czuł się w nim jak w swym żywiole i odrazu poprzednie i społeczne pokolenie uważał jako swą własność, jako kopalnię. Sand malowała ludzkość tak, jak pejzażysta rośliny, czyli, że z ludzkiej istoty malowała to tylko, co znosi światło; punkt widzenia Balzaca —bo o nim tu mowa—był wprost przeciwny. Była-to bogata, gorąco-krwista i pomysłowa natura. Szorstki i delikatnie czujący, skłonny zarówno do marzycielstwa pełnego przeczuć, jak i do bystrej obserwacji, posiadał zdolność głębokiego odczuwania, ze zdolnością genialnego spostrzegacza,—powagę badacza z humorem powieściarza—genialność odkrywey z popędem artysty, pragnącego temu, co odkrył, odczuł i zauważył, nadać nagi i niewstydzający się wyraz. Był on stworzony na odgadywanie tajemnic społeczeństwa i ludzkości. Błyszczącymi czarnymi oczyma umiał patrzeć przez mury i w serce ludzkie, a postawę miał Szyfrysa pracy. Ubogi, dobijał się długo, ziębnąc w swej izdebce, przyszłości. Zaczął od tragedii, którą wnet porzucił, bo uzdolnienie jego było zbyt nowoczesne, ażeby się zadowolnić abstrakcjami francuzkiego teatru, wreszcie chodziło mu o jaknajszybsze zdobycie niepodległości. Rzucał się na pisanie romansów. Już w 1828 r. wydał pięć romansów, pod różnymi pseudonimami; w dalszych latach inne, pisane dla zarobku tylko! Położenie jego materialne było wówczas tak rozpaczliwe, że zamyslał zostać księgarzem. (Obdłicie tego znajdujemy w rom.: „Un grand homme de province à Paris“). Spekulacja jego wydawania tomikami klasyków, jak wiele innych późniejszych, jego zruinowała, księgarzy zubożyła. Był on poeta—nie spekulantem, ale próbował wszystkiego, chcąc być równocześnie giserem, drukarzem, księgarzem i pisarzem. Po 3 latach sprzedał swe wydawnictwa na makulaturę, obciążony się tak

długami, że całe życie odtąd nie mógł się od zobowiązań uwolnić. Zmuszony pożyczać na lichwę, poznał różne gatunki lichwiarzy, z których później tak typowo przedstawił *Gobsecka*. Słowa: „moje długi, moi wierzyciele“ zapełniają odtąd wszystkie dni jego życia. Długi były jego męką i nieustannym bodźcem do pracy, sprężyną podtrzymującą jego wyobraźnię.

Rozpoczął pracę z olbrzymim wysileniem i przepracował młodość swą i wiek dojrzały, tak, że w 50 roku życia, padł jak zwierzę na arenie, ugodzone na śmierć. Tworzenie było mu twarde, trudne, bo nadzwyczajnej siły wyobraźni nie popierała łatwość formy, wczas zdobyta stylistyczna zręczność. Walczył zacięcie, zanim opracował język, i gryzło go to, że młodzi romantycy długi czas nie uważali go za artystę. Jeden Gautier uznawał go odrazu, nie atoli bardziej nie wprawiało w osłupienie Balzaca, jak gdy widział Gautiera, piszącego piękny jaki artykuł bez przygotowania, bez żadnej poprawki, na pulpicie u księgarza. Ież on się napracował, ażeby zdobyć tę wrodzoną u Gautiera zdolność! Jakże uwielbiał jego styl malowniczy i plastyczny!

(Dalszy ciąg nastąpi).

BĘDZIE ŻYW I NIE ZAGINIE

przez

JANA NECZASA

przełożył z Czeskiego Miriam.

Gdy w pustym polu wiatr sobie płasza
I żółte liście pod stopy drzew strząsa;
Gdy śmierć panuje nad lądy i wody,
W gruzy padają starosławne grody,
A pośród murów, co niegdyś radosną
Słyszały wrzawę, dziś pokrzywy rosna;
Gdy nawet z królów nie zostają kości—
Jak wobec tego mówić o stałości?
Wszystko zapada w ciemny grób przeszłości...
Lecz oto droga do nieśmiertelności:
Bóg rzekł, że „będzie żyw i nie zaginie,
Kto przez czyn własny ze swym wiekiem spleynie;
Czas mu niszczytel jeszcze sławy przyda“.
Tak przechowane imię Leonida,
Tak z toni wieków, wieszczym dźwiękiem słowa
Wielka myśl do nas doszła Homerowa.—
Duch sławnych mężów boskiem światłem płonie,
Szle blask, jak Faros, na wzburzone tonie,
I na żywota falach błędne łodzie
Do portu wiedzie, — ku spokojnej wodzie.

Korrespondencya zagraniczna.

Lwów w Styczniu 1884 r.

Kometa.—Karnawał.—Bale u namiestnika.—Uroczniczenie zabaw.—Bazar świąteczny.—Wieczorek dziecięcy w Kasynie Miejskim.—Wykłady popularne.—Odczyt pani Boberskiej o Gabryeli.—Odczyt dla czeladzi rzemieślniczej.—Czasopismo dla ludu *Niedziela*.—Nowe pismo ilustrowane literackie *Ognisko domowe*.—Czasopismo myśliwskie *Lowiec*.—Zapis ś. p. Bonifacego Sztillera na rzecz wdów i sierot po lekarzach.—Fundacya ś. p. Kochmana na wspomnienie literatów i ubogich dziewcząt. Pięćdziesięcioletni jubileusz x. opata Nowakowskiego w Żółtkwi.

(Dalszy ciąg).

W pierwszym odczycie skreśliła p. Boberska biografią Gabryeli; ostatni poświęciła wyłącznie rozbirowi dzieł jej, wykazując obok zalet estetycznych i pojedynczych piękności, również ducha i tendencją każdego, tudzież wpływy i wrażenia pod jakimi autorka je tworzyła. Do najbardziej

zajmujących ustępów tego odczytu należały te, gdzie prelegentka opowiadała osobiste swe stosunki, łączące je z autorką „Poganki“ i „Wolnych chwil“, i odczytywała otrzymywane od niej listy. Znajomość ograniczała się tylko na korespondency, gdyż osobiście się nie znały: niemniej przeto była wylaną, serdeczną, opartą na związku dwóch dusz pokrewnych, blizkich sobie usposobieniem, przekonaniem i miłością szczytnych ideałów ludzkości. Jakoż Gabryela w listach tych rozwijała nieraz poglądy i wyrażała uczucia pozwalające lepiej wnikać w głąb jej myśli, w tajnię ducha, niżeli drukowane dzieła, w których każdy autor bądźco bądź w wyrażeniu swych myśli rozmaitemi krępować się musi względami. Poufne korespondencye, jeżeli zebrać się dadzą, są zawsze nadzwyczaj ważnym uzupełnieniem każdej biografii, częstokroć one dopiero w należytem świetle ukazują charakter i stanowisko autora, zwłaszcza wpływy, którym ulegał i pobudki nadające kierunek jego pracom. Parę słów w poufnej wypowiedzianych korespondencyi, więcej nieraz objaśni biografii i recenzya, niż drukowane słowo, gdzie autor zawsze niejako w świątecznym występuje stroju. Poufne korespondencye Gabryeli odsłaniają nam jej piękną duszę w całej pełni, okazując, z jak szlachetnego źródła czerpała myśli, ogarniające obszar najważniejszych zadań ludzkości i zagadnień ducha, a blaskiem poetycznego natchnienia opromienione.

Inspektor szkół miejskich, professor Baranowski obrał sobie za przedmiot wykładu: *Żywot i dzieła Jana Kochanowskiego*, z powodu jubileuszu tego, jak go nazwał, „praszczenia pieśni polskiej“. Treść, wdzięczna sama przez się, przedstawia się w ożywionym wykładzie powabnie i nauczająco; bo chociaż znaczenie Kochanowskiego w literaturze naszej i piękność jego poezyi, powszechnie jest cenioną, są rzeczy i postacie, do których myśl zawsze zwraca się z przyjemnością i pożytkiem, których wizerunek, im bardziej się weń wpatrujemy, tem więcej nabiera uroku, tem serdeczniejszą budzi sympatya, a do tych przedewszystkiem należy nieśmiertelny śpiewak z Czarnolasu.

Wdzięczny bogactwem i różnaitością treści wykład miał professor Benoni o klimatycznych strefach kuli ziemskiej. Skreśliwszy różnice stref i odmiennosć klimatów, opisał właściwości każdej strefy, różnaitosć objawów przyrody, ich florę i faunę, w obrazie o żywym z barw miejscowych zacierpnym kolorycie.

Wkrótce też rozpocznie się szereg wykładów popularnych tygodniowych w Stowarzyszeniu *Gwiazda*, które z małą przerwą w dni zapustne trwać będą przez Luty i Marzec. Programat, ułożony ze szczególnem uwzględnieniem stosunków rękodzielniczych i wiadomości z zawodem rzemieślnika w bliższym pozostających związku. I tak, lekarz Żuliński będzie mówił: „O higienicznych warunkach w urządzeniu pracowni rzemieślniczych“; p. Zygmunt Sawczyński „O wpływie wychowawczym tychże pracowni na czeladź rzemieślniczą“; Dr Dobiński, lekarz Zakładu Oblakanych na Kulparkowie, ma mówić „O wpływie pracy na rozwój władz umysłowych i O próżniactwie jako o przyczynie rozmaitych obłądów umysłowych“; wykład ma być oparty na przykładach z życia zacierpnionych, mianowicie z własnej praktyki prelegenta. W programat tych wykładów wchodzi także popularne wyluszczenie niektórych zasadniczych pojęć ekonomii społecznej, jako mylnych pojęć o tych rzeczach, krzewiących się na gruncie niezdrowym.

Widzicie tedy, że myślimy, nietylko o zabawie, ale i o nauce, o pożytku umysłowym w rozmaitym kierunku; a ziarno tego pożytecznego posiewu staramy, się też nietylko na miejską, ale i na wiejską rzucić rolę. Dbała o wszystkie, że tak powiem, piskłeta swego gniazda, „Macierz polska“ rozpoczęła wydawać z Nowym Rokiem pismo tygodniowe peryodyczne dla ludu pod tytułem: *Niedziela*, którego zadaniem ma być oświata w duchu zgody i miłości bliźniego szerzona, obok zachęty do pracy i do ścisłego pełnienia tych obowiązków, którym zadosyćuczynienie zapewnia ostatecznie dobrobyt i uszlachetnienie moralne. Wielka bieda jest między ludźmi, to prawda—powiada *Niedziela* we wstępnej do czytelników odezwie—i przy-

rzeka na wszystkie te biedy skuteczne podawać lekarstwa. Bo i z czego pochodzi ta bieda wszelkiego rodzaju?—zapytuje dalej.—Oto zdąd, że ludzimu brakuje w sercu Boga i miłowania bliźnich, a światła w głowie, bez których-to rzeczy człowiek, choćby się jak zapracował, daleko nie zajędzie. Z tego więc stanowiska zapatrując się na swoje zadanie, zamierza *Niedziela* dopomagać radą i nauką w pracy na roli i w warsztacie i objaśniać swych czytelników, co każdy z nich winien jest *Bogu, ludzimu i krajowi*, i jak się w każdym położeniu wywiązać ma z tych obowiązków, z korzyścią dla siebie i społeczeństwa.

W tych kilku słowach zawiera się streszczony cały program i cel nowego czasopisma, którego redakcyą objął p. Wojciech Wilczyński, znany autor wielu powieści humorystycznych, posiadający łatwe i sympatyczne pióro, i prostotę stylu, bardzo odpowiednią wymaganiom pisma ludowego. Pod każdym więc względem zapowiada się nowe czasopismo bardzo dobrze, tak mianowicie co do zasadniczych tendencyi, jak i odpowiedniego stylu i przedstawienia rzeczy. Nie podzielałmy zdania tych autorów i tych pism ludowych, które, uważając lud wogóle za małoletnie dziecko, chcą go tylko zabawiać powiastkami i tym podobną lekką łakotkową strawą. Doświadczenie nauczyło, że lud nie smakuje w takich właśnie łakociach, ale natomiast żywo obchodzi go wszystko, co się z powszedniemi jego stosunkami łączy, i że chętnie zastanawia się nad każdym takim przedmiotem, skoro mu będzie wyluszczone jasno, prosto a logicznie i z szczerą ku niemu miłością, z szczerem potrzeb jego i jego dobra uwzględnieniem. Na tę wszędziśzy drogę *Niedziela* prawdziwie pożyteczny plon przynosić będzie. Niech tylko bacznem okiem obejmuje wszystkie stosunki naszego ludu; niech we wszystkich kierunkach śpieszy mu wedle danego w programie przyrzeczenia z *radą i nauką*; a obudzi niezawodnie więcej zajęcia w kołach czytelników, dla których jest przeznaczona, niżeli przesycając ich powiastkami, częstokroć nużącemi nazbyt widoczną tendencją i moralizowaniem, nieodnoszącem skutku, bo niewysnutem z rzeczywistych potrzeb i stosunków życia.

Dwutygodnik literacki *Ziarno* przestał wychodzić po dwuletniem suchotniczym życiu, nie przyniósłszy spodziewanego plonu. Natomiast rozpoczął księgarz Łukaszewicz wydawać z Nowym Rokiem *Ognisko Domowe*, pismo ilustrowane, czyniąc zadość smakowi dzisiejszemu czytającej publiczności, tak skwapliwie szukającej obrazków w pismach tego rodzaju. *Ognisko* będzie zapewne dalszym ciągiem wydawanego przez lat parę przez tężsamą księgarnię *Przyjaciela Domowego*, który wraca podobno do rąk dawnych właścicieli, spadkobierców śp. Hipolita Stupnickiego. *Ognisko* występuje w ozłobniejszej, pokaźniejszej od *Przyjaciela* powierzchowności i bogatszą odznacza się treścią, oile z pierwszego dwuarkusowego zeszytu sądzić można. Znajdujemy w niem nowy dramat Leopolda Starzeńskiego, humoreskę Lama i piękną rozprawę pani Felicji Boberskiej o literaturze Wieku Zygmuntońskiego, wiersz wstępny, choć nie na wstępie umieszczony: *Do domowego ogniska*, piękny i z ciepłem napisany uczuciem. Pomimo tego, dział poezyi jest najslabszą stroną *Ogniska*. Wywołany z romantycznej przeszłości szyllerowski Leander, płynąc do Hery przez strof kilkadziesiąt, utonął, nie wiem poraz już który, we fluktach tłumaczenia, jakby za karę, że się nie trzymał domowego ogniska. Mogłoby to służyć za przestrożę dla Leandrów i dla... tłumaczy Szyllera.

Szesty już rok istnienia rozpoczął *Lowiec*, czasopismo myśliwskie, wydawane kosztem tutejszego Towarzystwa Łowieckiego, pod redakcyą Józefa Łozińskiego. Jest to, można powiedzieć, wzór pisma dobrze redagowanego w zamierzonym zakresie. Zasilany pracami piór znakomitych w dziedzinie nauk przyrodniczych, jak: Kazimierz Wodzicki, badający z takim zamiłowaniem i trafnością spostrzeżeń świat ornitologiczny, i inni, podaje *Lowiec* umiejętnie pisane monografie o życiu zwierza leśnego i obejmuje wszystkie gałęzie wiadomości, mających związek z myślistwem, a zarazem umieszcza korespondencye z wszyst-

kich okolic kraju, w których znajdujemy nieraz żywe, miejscowym kolorytem nałożone obrazki natury i obyczaju łowieckiego. Dodawszy do tego styl piękny, język wytworny, połączony z bogactwem treści, można poniekąd *Lowca*, we właściwym mu kierunku, nazwać pismem literackim; stara się bowiem, oile ramy jego i przeznaczenie pozwalają, objąć w sobie całą literaturę łowiecką i postępowanie wiadomości na polu złączonej z nią wiedzy.

Umarł temi dniami Bonifacy Sztiller, właściciel Morszyna, najmłodszego ze zdrojowisk leczniczych galicyjskich. Zdawiadawna wydobywano w Morszynie sole, o których utrzymywano, że posiadają właściwości lecznicze; wszakże dopiero s. p. Sztiller, niegdyś konduktor pocztowy, następnie kupiec galanteryjny, nabywszy ten majątek przed laty dziesięciu, zajął się wyzyskaniem leczniczych bogactw Morszyna i przeobraził go w miejsce kąpielowe, które wnet nabrało rozgłosu, tak siłą swej wody gorzkiej, posiadającej skuteczności wody Pilnauerskiej i nowoodkrytych gorzkich wód węgierskich, jako też pięknocią i higienicznymi własnościami swego położenia w okolicy lasów szpilkowych, pożytecznie na płuca i nerwy działających. Urządziwszy zakład kąpielowy w Morszynie, darował s. p. Sztiller rzeczony majątek tutejszemu Towarzystwu Lekarskiemu, jako fundacyę, przeznaczoną na zaopatrzenie wdów i sierot po lekarzach, zastrzegając sobie dożywotnie użytkowanie dochodów. Obecnie więc po śmierci jego wejdzie fundacya przezeń utworzona w życie.

Wkrótce też wejść ma w wykonanie inny zapis, mający po części na celu podanie pomocy ludziom pióra, pracującym na polu literatury. Fundacya to oryginalna dosyć w swoich warunkach, niemniej przeto może się pożytecznie utrwalić, a w każdym razie świadczy o niezmiernie dobrych chęciach i o zacnych tendencjach swojego twórcy, który w najlepszej myśli rad był jaknajpożyteczniej rozporządzić swym majątkiem.

Przed dziesięciu mniej więcej laty zmarł we Lwowie niejaki Kochman, urzędnik, który oszczędnością całego życia zgromadził niewielki stosunkowo fundusik kilkunastu tysięcy guldenów, i chciał go po śmierci oddać na cel dobroczynny. Ale na jaki? W tem tkwiło pytanie, nad którym długo się namyślał. Najopłakańszym wydał mu się los ludzi pracujących umysłowo na polu literatury, którym praca, dla dobra społeczeństwa i pożytku nauk podjęta, zbyt skąpy przynosi plon materialny, tak, iż całe życie nieraz z niedostatkiem walczyć są zmuszeni; zwrócił też uwagę jego los sług i biednych dziewcząt, rzuconych samopas na łaskę losu i pastwę nędzy. Podzielił więc swój fundusik i uczynił zapis przeznaczający go w połowie na wynagrodzenie prac literackich, w połowie na zaopatrzenie ubogich dziewcząt. Poruczywszy wykonanie testamentu wyznaczonym ku temu kuratorom fundacyi pod nadzorem Wydziału Krajowego, polecił pozostawiony kapitał procentować tak długo, dopóki nie wzrośnie do tej wysokości, iżby fundacyą w życie wprowadzić można, co właśnie obecnie już ma nastąpić. W myśl tego zapisu mają być rokrocznie ogłaszane nagrody konkursowe za prace literackie jakiegokolwiek treści, w wysokości 300, 500, 1,000 i tak dalej, aż do 5,000 guldenów, w miarę powiększającego się kapitału fundacyjnego z narastających odsetków. Grono sędziów oceniających wartość utworów konkursowych ma się składać z zaproszonych w tym celu przez kuratorów fundacyi i Wydział Krajowy mężów nauki, posiadających ustalone imię na polu piśmiennictwa. Według warunków zapisu, pierwszeństwo do otrzymania nagrody mają przed innymi poezye; szczególniejszym zaś w swoim rodzaju jest ten warunek, że te same utwory, które już odniosły nagrodę, mogą się o nią i potem jeszcze w la-

tach następnych tylekroć ubiegać, dopóki summa uzyskanych nagród nie wyniesie, razem wzięwszy, 12,000 guldenów, poczem już autor, syt odniesionych nagród, nie może występować nanowo na arenie spółzawodniczej i musi innym wolne zostawić pole. Widocznie miał twórca fundacyi, ustanawiając ten warunek, na celu zapewnienie znakomitszym pisarzom za ich prace, zasługujące na wyszczególnienie, jakiegoś znacniejszego kapitału, mogącego im jakotako zabezpieczyć wiek późniejszy. Ponieważ pierwotny kapitał fundacyjny wzrósł do tej wysokości, że można już w roku bieżącym wyznaczyć dwie nagrody konkursowe, jedną na 300, drugą na 500 guldenów, więc wkrótce już konkurs będzie ogłoszony.

Druga połowa majątku fundacyjnego przeznaczona jest na posagi dla ubogich dziewcząt, mające się także w miarę wzrostu kapitału tworzyć z jego odsetków. Posagi będą rozdawane przez losowanie, a do ciągnięcia losów mają być przypuszczone ubogie dziewczęta bez wyjątku, w wieku od lat szesnastu do trzydziestu dwóch, z tem wyraźnym, w akcie fundacyjnym uczynionem zastrzeżeniem, aby były zdrowe i *przystojne*. W powabnej powierzchowności upatrywał testator najniebezpieczniejsze źródło pokusy, do zboczenia z drogi moralności, dla ubogich dziewcząt; i dlatego położył ten warunek, chcąc im przyjść z pomocą materialną w położeniu częstokroć na upadek narażającym. Ponieważ celem fundacyi wedle woli s. p. Kochmana, miało być głównie podźwignienie dziewcząt upadłych, przeto akt fundacyjny nie wymaga od ubiegających się kandydatek zaświadczenia moralności, co fundacyą niniejszą wyróżnia od wszystkich podobnego rodzaju zapisów dobroczynnych. Podobnie jak literaci, mogą i kandydatki do posagów, pomimo uzyskania szczęśliwego losu, stawać ponownie w latach następnych do urny loteryjnej, a to tak długo, dopóki nie przekroczą przepisanej kresu trzydziestu dwóch lat życia. Wygrany posag ma być jednakowoż wypłacony wówczas dopiero, i pod tym jedynym warunkiem, jeżeli wygrywająca najdalej we dwa lata wyjdzie za mąż, a następnie po roku pożycia z mężem złoży wystawione przez niego świadectwo, że jest dobrą żoną i gospodynią i zasługuje na przeznaczoną dla niej nagrodę. Inaczej, kwota na nią przypadająca zostaje niepodniesioną na rzecz fundacyi. Trudno w tem wszystkim nie dopatrzeć najlepszych chęci i zacnych celów testatora, chociaż obrane przezeń środki niekoniecznie może w praktyce odpowiedzą założeniu. Plez-to pokus i namiętności gra w życiu, obalając nieraz najtroskliwiej obmyślane teorie! Słabość ludzka, pomimo stawianych jej przeszkód i zadawanych lekarstw, wyprowadza częstokroć na manowce, śmiejąc się z usiłowań filantropów i moralistów. Podobnie i w tym razie, czy skutek odpowie zamiarowi? Czy znajdzie się wielu mężów, którzy, pojawiając żonę w widokach otrzymania przypadającego na nią posagu, odmówią jej po roku świadectwa moralności, pozabawiając się spodziewanego wziętku, a zarazem narażając na obmowę i pośmiewisko? Świadectwa zatem będą; stanie się zadosyć literze fundacyi; ale czy zyska na tem istotnie moralność społeczeństwa, w tym mianowicie stopniu, jak sobie wyobrażał twórca fundacyi?

Temi dniami odbędzie się w Żółkwi uroczystość, na którą wybiera się wiele osób ze Lwowa. Obywatelstwo tamtejszego obwodu postanowiło uczcić pamiątkowym obchodem jubileusz pięćdziesięcioletni kapłańskiej pracy x. Nowakowskiego, Opata Żółkiewskiego, chcąc mu wywdziękzyć się tym sposobem za zasługi położone około odnowienia kościoła farnego w Żółkwi, zawierającego wiele pamiątek historycznych po Żółkiewskich, Daniłowiczach i Sobieskich. Kiedy przed laty 20-stu obejmował x. Nowakowski probostwo żółkiewskie, zastał farę tamtejszą w najopłakańszym

stanie. Wspaniałe marmurowe nagrobki i pomniki niszczały, obrazy pamiątkowe historyczne, butwiały na ścianach przesiąkniętych wilgocią, dach zaciekał, ze ścian odpadały tynki; cały kościół, w zupełnym zaniedbaniu, przedstawiał smutny widok chylącej się do upadku opustoszałej ruiny. Ksiądz Nowakowski przedsięwziął przywrócić Farę Żółkiewską do tego stanu świetności, jaki odpowiadał przywiązaniem do niej pamiątkom przeszłości i dziełom sztuki. Uczynił to zadaniem życia swego i doprowadził wreszcie do celu pokilkunastoletnich usilnych staraniach, podjętych z energią, na jaką zdobyć się może tylko umysł żelazną obdarzony wolą i jedną głównie myślą przejętą. Dwa tu przedstawiały się trudne zadania: nietylko bowiem sama restauracya kościoła, jego pomników i obrazów, wymagała wielkiego artystycznego i archeologicznego znanstwa, aby zachować dziełom sztuki mającym się odnawiać, ich pierwotne cechy i wspaniałość, a przytem nadać całemu kościołowi artystycznie ozdobną powierzchowność, odpowiednią wspaniałości znajdujących się w nim pomników, ale potrzeba było wprawdzie jeszcze zgromadzić niezbędne fundusze w wysokości kilkunastu tysięcy guldenów. Czegoż jednak nie dokaże gorliwość silnem wsparta postanowieniem? W przeciągu lat kilku zebrały się potrzebne fundusze. Powołani przez księdza Nowakowskiego artyści i restauratorowie zajęli się odnowieniem pomników i obrazów, z całym artystycznym poszanowaniem, należnym tak cennym zabytkom sztuki. Odżyły pod pędzlem restauratora wspaniałe obrazy Altamontego, przedstawiające Odsiecz Wiednia i Bitwę pod Parkanami; w całej dawnej świetności przedstawił się obraz Bitwy Chocimskiej; wystąpiły nanowo z zaciemnionego pyłem czasu tła wywołane wizerunki Sobieskich, Daniłowicza i t. d., odnowione napisy podniosły historyczne znaczenie pomników, do pierwotnej wróconych wspaniałości; marmoryzowane ściany, pięknie przyozdobione sklepienia, marmurowa podłoga: wszystko odpowiada wspaniałości świątyni. Dzieło skończono — a ksiądz opat, który zamłodu przed przywdzianiem sukni duchownej, był dzielnym żołnierzem, dzisiaj, domierzając ośmdziesiątego roku życia, z chlubą i spokojem powiedzieć sobie może, iż spełnił godnie zadanie obywatela i kapłana.

W dzień jubileuszu 20 b. m. wielki zjazd będzie w Żółkwi; nietylko bowiem parafianie i zaproszeni goście ze Lwowa tam się wybierają, ale i z różnych stron kraju liczni przyjaciele, znajomi i wielbiciele księdza opata pośpieszą wyrazić mu swój hołd osobiste. Uroczystość rozpocznie się nabożeństwem u fary, a zakończy wieczorem ucztą składkową w komnatach starego zamku królewskiego, przy której będzie wręczone jubilatowi album z fotografiami i podpisami obecnych. Nadto wybić kazano na pamiątkę dnia tego medal na cześć jubilata, mający po jednej stronie popiersie jego z napisem: „Ksiądz Opat Jan Nowakowski, żołnierz i kapłan“ a po drugiej napis: „Restauratorowi Kościoła Żółkiewskiego“.

Władysław Zawadzki.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się artykuł 5-ty, tomu II-go powieści pod tyt.: **Widmo szczęścia**.

TREŚĆ. Pogawędka. — Król Agis, dramat, (dalszy ciąg), przez Juliusza Słowackiego. — Któs, powieść, (dalszy ciąg), przez J. I. Kraszewskiego. — Delikatność uczucia, przez M. I. — Romantyzm we Francji, (dalszy ciąg), przez Edwarda Lubowskiego. — Będzie żyw i nie zaginie, (poezya), przez Neczasa. — Korrespondencya zagraniczna, Lwów, (dokończenie).